



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Maks Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

Zawsze jestem posłuszny swoim przełożonym, kapitanie! Wypijemy po lampce a potem...

— A potem dowiecie się, panowie, po cośmy tu przyплыnęli i w jakich warunkach powrócimy do domu.

Obadwaj nastawili uszów. Piotr kręcił niespokojnie czapkę w rękę, a pan Jakób poprawił okulary.

— Zachowaliście się, jak prawdziwi marynarze, i nie pytaliście ani razu o rzeczy, które do was nie należą. Teraz moim obowiązkiem jest postąpić z wami otwarcie. Powiem wam zatem krótko i węzłowato, że przyплыłem na ocean Spokojny, do wyspy Ken, dla tego, że mnie moja pani, Marya Bellenden, o to prosiła.

Przypuszczam, że się oni tego od dawna domyślali; ale pan Jakób, jako polityk, udał zdziwienie, podczas gdy poczciwy Piotr Bligh wychylał spokojnie kieliszek za zdrowie pani Maryi.

— Niech jej Bóg da zdrowie, a nam długie lata, abyśmy znowu mogli jej służyć.

— Już to nie panna Marya Bellenden, ale żona człowieka, którego nazwiska żaden Anglik nie wymówi—zauważył Jakób, kiwając głową. Dziwnie się układają losy człowieka, ale tego bym się nigdy nie spodziewał

— Obiecałem, że przybędę tu w dzień jej ślubu, a ona złożyła dziesięć tysięcy funtów u swego adwokata, aby mi tę podróż uczynić możliwą. Długo mi mówiła o sobie, i w końcu dodała: „Mój mąż



Tymczasem Dolly i ja wbiegliśmy na drabinę i niebawem znaleźliśmy się na szczycie skały.

ma dziwne zapatrywania, i być może, że się nie zgodzą z moimi. Jeżeliby jego yacht nie był wolny w chwili, kiedy zechcę znowu przyjechać do Europy, to chciałabym mieć inny. Nie wątpię ani chwili, Jasperze Beggs, że mi nie odmówisz, i że od dziś za dwanaście miesięcy przyjedziesz na wyspę Ken i przybędziesz do mnie po rozkazy. Może cię odeślę

W dodatku Konkurs na kaligrafię.

do domu, a może zatrzymam u siebie. Kto to może wiedzieć? Jestem zupełnie sama na świecie, dodała z uśmiechem, bo mój brat mało o mnie myśli, a z Londynu do wyspy Ken, daleka, bardzo daleka droga." Tak ona mówiła a ja każde jej słowo zapamiętałem.

— Miała rację, daleka droga, powtórzył Piotr. A gdyby ona jeszcze wiedziała...

— Piotrze,—zawołałem—siedź cicho, i nie odzywaj się, aż cię zapytają. To, co wam teraz mówię jest tajemnicą, o której nikt, oprócz nas trzech nie powinien wiedzieć. Jutro, skoro świt, przybiję do brzegu i powiem, że się chcę widzieć z panią Czerny, bo tak się moja panna Marya teraz nazywa. Jeżeli nam każe wracać do domu, to odpłyniemy z dobrym zarobkiem w kieszeni, jeżeli zaś każe zostać, to nikt się chyba nie sprzeciwi, gdyż ona biedaczka wyszła za cudzoziemca, a nigdy nie wiadomo, co w cudzoziemcu może siedzieć.

— Niema to jak Anglik, albo Irlandczyk—zauważył Piotr Bligh, którego matka pochodziła z Korku, a ojciec miał sklepik w Dublinie.

— Edmund Czerny jest Węgrem, czy też cyganem i gra przesłicznie na skrzypcach. Skąd mu przyszedł ten waryacki pomysł, żeby jechać w podróż poślubną na ocean Spokojny i osiąść na tej skale. Bóg Święty raczy wiedzieć. Powiadają, że dłuższy czas spędził w Ameryce. — Ja o nim nic nie wiem, poza tem, że umiał być bardzo miłym i ujmującym kiedy chciał, a panna Marya Beellenden, idąc za męża, miała zaledwie ośmnaście lat.

— Jeżeli pani Marya potrzebuje przyjaciół, to jest nas trzydziestu sześciu, na których w każdej chwili może rachować.

Pocziwie mówisz, panie Piotrze, ja się jednak obawiam, że nas ten Czerny może źle przyjąć i odesłać do domu. Co prawda każdemu wolno pływać po morzu i nikt mi nie zabroni zatrzymać się przy wyspie Ken. Zresztą jutro się wszystkiego dowiemy. Teraz zjedzmy kolację i pójdźmy spać, bo kto wie, jaka nas jutro robota czeka.

Wyszliśmy zatem na pokład, Dolly Ven stał wpatrzony w światło latarni, która ani na chwilę nie zgasła. Zapytałem chłopaka, czy widział jaki okręt? Odpowiedział, że nie, i że nie puszczano z brzegu żadnej rakiety.—Zdaje mi się, panie kapitanie, że port musi być po drugiej stronie wyspy.

— Jutro rano będziemy wiedzieli, mój chłopcze, zejdz na dół na kolację, a ja tu zostanę i będę czuwał.

Zostałem sam na pokładzie. Wiatr ucichł, czasem tylko zajęczał w pośród lin. Stałem i wpatrywałem się w to światło, jak ojciec patrzy w jasne okno pokoju swojego dziecka.

II.

Wylądowujemy i widzimy rzeczy nadzwyczajne.

Opowiedziałam wam, w jakich warunkach przypłynąłem do wyspy Ken, a teraz wam opowiem, co mi się wydarzyło, gdym wylądował, aby odszukać Maryę Bellenden.

Odbiliśmy od okrętu o szóstą zrana; Dolly Ven, jako czwarty oficer, siedział obok mnie przy sterze, a starszy Doe manewrował zagłami. Na pokładzie zostawiłem pana Jakóba, polecając mu, aby się trzymał blisko brzegów i oczekiwał naszego powrotu nie później, jak o zachodzie słońca.

— Choćby się nam nie wiem co przytrafiło, to spędzimy noc na okręcie, ale ani chwili nie wątpię być przywożę jak najlepsze wiadomości.

— To znaczy, że wracamy do domu, bo lepszych być nie może.

Ja mu nie przeczyłem, gdyż byłem tego samego zdania.

„Krzyż Południa” zatrzymał się na zachód od wyspy, a z tej strony nawet przez bardzo silną lunetę nie mogliśmy dostrzedz możliwej przystani. Im więcej się szalupa zbliżała do brzegu, tem lepiej rozpoznawałem miejscowość. Właściwą wyspę stanowiła wyżyna, długa na jakie cztery mile *); zaczynała ją wysoka, stroma góra, na południu, a na północy wyspa przechodziła w szereg skał, zniżających się stopniowo ku morzu. Cały środek tej wyżyny, był niezmiernie świeży, zielony i zdawał się posiadać prawdziwą podzwrotnikową roślinność. Widziałem palmy, mnóstwo innych drzew—a na stokach, wzgórz rosła bujna trawa. Ale na brzegu skały wydawały się prawie niedostępne i w głowę zachodziłem, jak my się tu na szczyt ich dostaniemy.

— Dolly, moje dziecko! — przemówiłem do siedzącego obok mnie chłopca, zdaje się, żeś miał słuszność; po tej stronie nie potrafi wylądować człowiek uczciwy, chyba, że ma skrzydła. Okrążmy wyspę, może z tamtej strony lepiej się uda.

Skierowaliśmy szalupę na południe, opływając skały. Wszyscy byliśmy dziwnie podnieceni, a Dolly cieszył się, jak dziecko, z napotykaných trudności.

— Zły brzeg kapitanie, bardzo zły brzeg — powtarzał uradowany moją pochwałą. Nie chciałbym być w nocy na okręcie, któryby się kierował według wczorajszego światła.

— Mówisz, jak ksiądz z ambony; ale czy brzeg jest zły czy dobry, to mi wszystko jedno, muszę być na górze przed dwunastą, choćby mi przyszło wylądować wpław. Zdaje mi się nawet, że widzę ludzi; weź lunetę i zobacz, masz młodsze oczy.

Dolly patrzył długo na zielone łąki, ale światło za silne raziło go, a wkrótce potem skały zakryły widok. Łódź nasza płynęła między dwoma stromymi ścianami, przez które przelewał się prąd niezmiernie silny. Ująłem sam za ster i prowadziłem szalupę ostrożnie, aż do chwili, gdyśmy wypłynęły na szerszą wodę. O jaką milę od brzegu fale rozbijały się o łańcuch niskich podwodnych skał, ale tu morze było spokojne, woda głęboka. Jeszcze raz zawróciliśmy na północ i wtedy ujrzałem spokojną przystań, gdzie nie wątpliwie wylądowała Marya Bellenden.

— Widzicie chłopcy na lewo to wybrzeże, gdzie piasek się bieli i fale spokojnie przypływają? Tu wysiadziemy, a między skałami znajdzie się pewnie światło, które nas zaprowadzi na górę. Powiedzcie Piotrowi Bligh jak wróćcie na okręt, że pan Czerny musi być chyba Irlandczykiem, jeżeli kupił wyspę, która niema ani portu, ani zatoki.

Zbliżyliśmy się do lądu; od samego prawie brzegu wznosiły się strome skały, które w słońcu przybierały różne barwy. Jedne z nich były czarne jak węgiel, inne zielone, albo różowe. Piętrzyły się jedne nad drugimi jak stopnie olbrzymich schodów, poprzedzielane w wielu miejscach głębokimi przepaściami. Dużo w mojem życiu podróżowałem, ale nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak dzikiego wybrzeża. W głębi wyspy, na stokach gór rosły gęste lasy i gaje palmowe rozrzucone na zielonym tle łąk. W zatoce piasek połyskiwał wszystkimi barwami tęczy, od północy tylko zasłaniały ją skały, które jak długi wał wchodziły w morze i tworzyły rodzaj naturalnej tamy. Teraz zaczynałem przypuszczać, że Edmund Czerny nie był zupełnym szaleńcem, kiedy zawiózł moją drogą panią na wyspę Ken. Lubił widocznie dziką naturę, a właściwszego miejsca nie

*) angielskie.

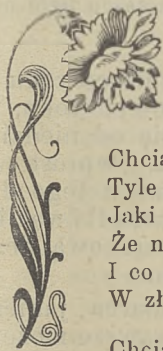
mógłby znaleźć na całej kuli ziemskiej. Ale czy się tu podobało pannie Maryi, która tak przepadała za miastem i życiem towarzyskim; czy się jej nie przykryło, czy nie tęskniła do ludzi? Za parę godzin będę wiedział o wszystkim.

Przybiliśmy do brzegu: zaledwie wysiadłem na ląd, gdy ujrzałem między urwiskami omszoną drabinę, która prowadziła na szczyt skały, a w tem miejscu wybrzeże wznosiło się nie więcej, niż jakie 60 stóp ponad powierzchnią morza. Nad zatoką nie widać było żywego ducha, niby na wyspie bezludnej; na piasku jednak widniały odcisnięte ślady stóp ludzkich. Dziś rano musiał ktoś tędy przechodzić i to niedawno, bo morze się zaledwie cofnęło i nawet piasek był jeszcze wilgotny. W innych warunkach dziwiłbym się, że nikt nie wyszedł na nasze spotkanie, a przede wszystkim, że nie przystano sternika, któryby kierował naszą łodzią w tych trudnych przejściach, ale wtedy tak byłem zajęty myślą, że za chwilę zobaczę moją panię, i tak mi było do niej spieszo, że wyskoczył z szalupy zanim jeszcze przybiła do ziemi.

— Dolly, chodź ze mną, a wy obaj czekajcie tu na nas. Za godzinę pewnie będziemy z powrotem, ale jeżelibyśmy się dłużej zatrzymali, to wracajcie na okręt, a o zachodzie słońca przypłyniecie znowu po nas, gdyż z pewnością na wyspie nocować nie będziemy.

Uśluhali moich rozkazów i odbili od brzegu, aby zarzucić kotwicę opodal. Tymczasem Dolly i ja wbiegliśmy na drabinę i znaleźliśmy się na szczycie skały, skąd widać było w dole łódź naszą, która wyglądała jak zabawka dla dzieci, dalej wzrok nasz sięgał aż do rafy koralowej, a jeszcze dalej białaty maszty naszego „Krzyża Południowego.”

(d. c. n.)



Pragnienie.

Chciałbym wiedzieć, skąd się bierze
Tyle wody w tym strumieniu;
Jaki anioł słońka strzeże,
Że nie ginie w nocy cieniu:
I co ranka tam na wschodzie,
W złotej budzi się urodzie.

Chciałbym wiedzieć, czemu kłosa,
Wyrastają z czarnej roli;
Czemu gwiazdy na niebiosy
W srebrnej wschodzą aureoli;
Czemu się zielenią łąki,
Czemu kwiaty mają pąki?

Chciałbym wiedzieć, skąd jest złoto,
Czemu jasno świeca płonie;
Czyją ogień jest robotą,
Skąd to mroźny wicher wionie,
Skąd się bierze błyskawica,
Co pochmurną dal rozświeca.

Kto mi wszystko wytłomaczy,
I kto mądrze mi odpowie,
Czemu tak jest, nie inaczej?
Kto rozjaśni mrok w mej głowie,
I wyjawi prawa, które
Bóg wszechmocny tchnął w naturę?
Odpowiedzi myśl ma szuka...

Ach, to wiedza i nauka!

Z. Wł. Zacharkiewicz.

Ks. Marcin Medniański.

o drugiej stronie Tatr, zwanej stroną węgierską, graniczącą z Galicyą, rozpościera się piękna kraina, Słowacya, będąca częścią Węgier. Słowacy, zamieszkujący tę krainę, mówią językiem bardzo zbliżonym do naszego, jakby pośrednim pomiędzy językami czeskim i polskim. Słowaków jest przeszło 2 miliony. Pomożemy później o Słowacyi w ogóle, dziś tylko streścimy żywot Marcina Medniańskiego, poety słowackiego, zmarłego w końcu 1901 r., który bardzo upodobał sobie język polski i wiele z niego robił przekładów.

O Medniańskim niezbyt dawno wyszła po czesku w Pradze Czeskiej broszura, p. t. „Martin Medniański, oriel tatransky, (orzeł tatrzański).”

Ponieważ znałem osobiście Marcina Medniańskiego i kilka tygodni bawiłem u niego, podróżując po Słowacyi, tem milej mi o nim czytelnikom „Wieczorów” opowiedzieć.

Medniański urodził się 1840 roku w Diwince, w Słowacyi, u podnóża Karpat. Po ukończeniu gimnazjum w Nitrze, niegdyś stolicy Słowacyi, poeta wstąpił do seminarium duchownego katolickiego tamże, a później studia teologiczne w Peszcie ukończył. Już będąc w seminarjum, poświęcił się pracy nad językiem polskim, które, ze względu na pokrewieństwo narodowości, poszły mu łatwo. Na dalszy pomyślny rozwój tych studiów przyczyniło się wielce mianowanie go wikarym w Letawie, części Słowacyi, w której zamieszkuje od wieków wielu obywateli ziemskich Polaków, i wielu włościan polskich z czasów, kiedy Spiż nie należał jeszcze do Węgier. Piękne widoki Letawy pobudzały do twórczości poetyckiej duszę Medniańskiego i w ustroniu plebanii tamtejszej począł kreślić piękne poemaciki i wiersze w języku słowackim, a prac tych kilka tomów wyszło.

W roku 1872 mianowany został proboszczem w Beczkowie, miasteczku leżącym blisko kąpieli trenczyńskich, sławnem z pobytu tu niegdyś wojewody Scibora. W Beczkowie znajdują się ruiny pięknego zamku i starożytna zamkowa dzwonnica, z zachowanymi w całości pięknymi dzwonami. W Beczkowie Medniański najwięcej tłomaczył utworów z polskiego języka, i po słowacku je drukował. Jeden z dłuższych wierszy w książce, jaką mi poeta ofiarował, zaczyna się od pięknych słów:

Ku Visle, ku Visle lette moje dumy,
Kde rodinnych bratov reez mi sladka szumi.

Łatwo bardzo zrozumieć te słowa, napisane w języku pobratymczym i nie potrzebuję chyba ich tłomaczyć. Prócz tego Medniański, wyuczywszy się języka polskiego, zamieszczał wiele prac po polsku w pismach polskich.

Przez długi czas nietylko na polu literackim, lecz i na innym był on prawdziwą chlubą swojej krainy. Nie było pożytecznej instytucji, do którejby nie należał, nie wspierał jej radą. Prócz słowackiego i naszego języka, posiadał wiele innych, a prace jego z różnych dziedzin wiedzy, wiele obejmują tomów. Medniański podróżował po Galicyi i czas jakiś w niej mieszkał.

Krakowskie Koło literackie ofiarowało mu piękne pamiątkowe album, W roku 1891 osiadł w Trenczyń-
Izstebniku, położonym o jedną stację kolejową od Cieplic trenczyńskich i z powodu słabego zdrowia przestał pisywać. Druciarze, przybywający do Warszawy,

pochodzą ze stron Medniańskiego, ze Słowacy, on też żartobliwie rozmawiając ze mną „druciarzem” się nazywał. Druciarze zamieszkują w Słowacy miejscowość zwaną Kisucza, a językiem jeszcze więcej zbliżają się do nas, niż inni Słowacy. Podaję poniżej wierszyk Medniańskiego w języku literackim Słowaków:

Moje rodisko. (Moje miejsce rodzinne).

Dawno som nie videl, už kraje moje,
Dawno teba moja dolinoczka luba,
Aj, jakaż mi miluczka, jak tie sady tvoje,
Po letiech mladosti krasu sa tu chlubia,
Tu czujem pieseń duszy mej z hluboka,
Ej hora, hora, hora wysoka!

Władysław Karoli.

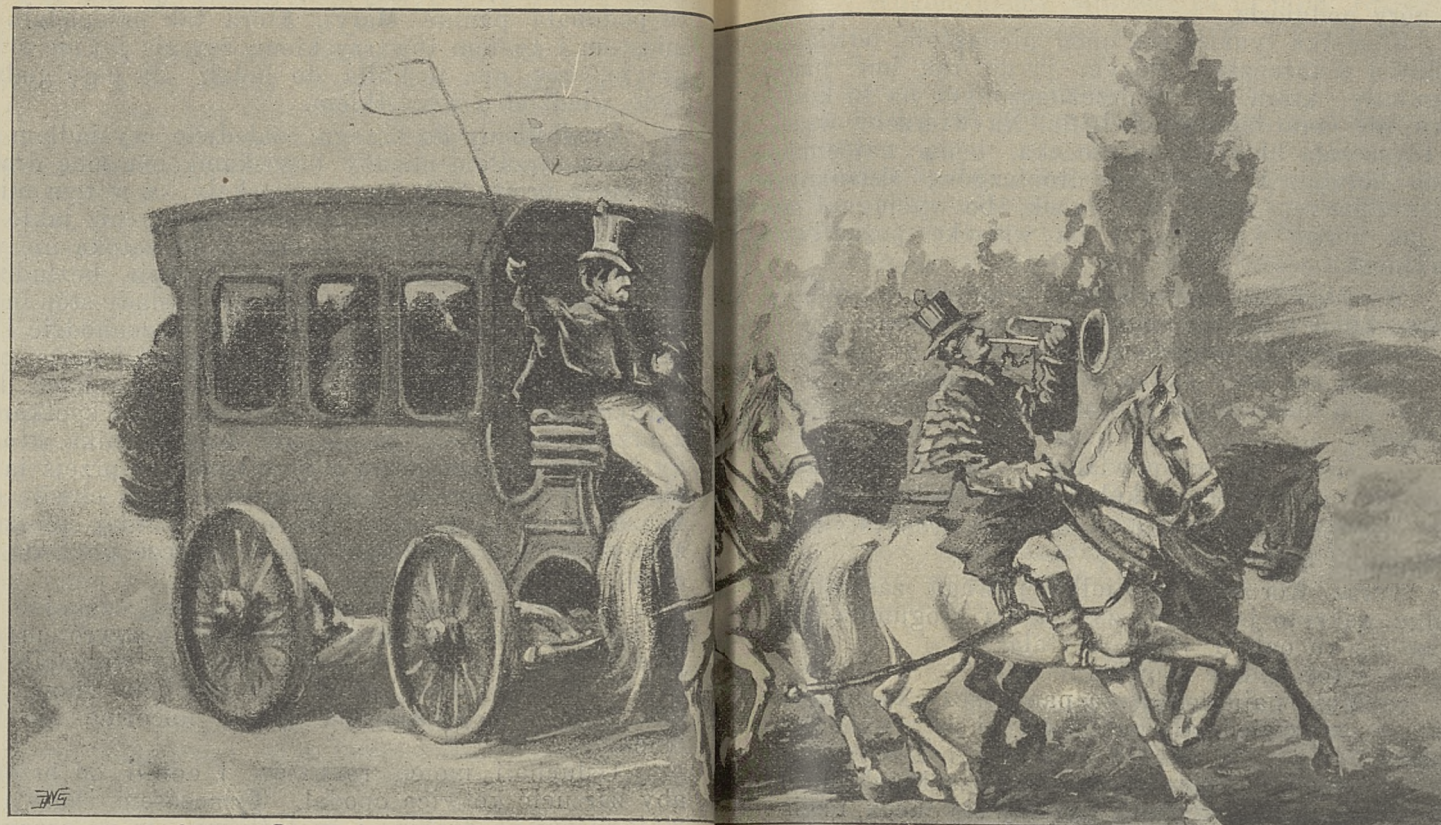
Jak oznaczyć dzień tygodnia dla wiadomej daty.

(Dokończenie).

Reguła praktyczna.

Na podstawie tego, cośmy dotychczas powiedzieli, moglibyśmy już ułożyć ostateczną regułę, wszelako niechaj nam wolno będzie zwrócić pierwiej uwagę na jedną jeszcze okoliczność.

Poszukując dnia tygodnia dla jakiegokolwiek daty, czy to w roku podstawowym 00, czy też w którymkolwiek roku następującego po nim stulecia, — rachunek rozpoczynaliśmy dotychczas od marca owego roku 00. Postępowaliśmy mianowicie w sposób następujący. Jeżeli szło np. o 6-ty lipca, mniejsza o to którego roku, szukaliśmy najpierw dnia tygodnia



KURKA.

Co tam kolej i wagony!
Nie tak dawniej się jeździł
Choć kuryerka trzęsła srod
Lecz na sercu było miło.

Trąbka trąbi, powóz dudni,
A pocztylion strzela z bąta,
Choćby konie nas uniosły,
Nie zawiozą na kraj świata.

dla tego samego, to jest 6-go dnia marca roku 00. Ponieważ wiemy, że w owym podstawowym roku, każdy dzień marca, jako zaczynającego się od niedzieli, liczbą swoją porządkową wskazuje nam wprost właściwy mu dzień tygodnia, — przeto, zamiast tego dnia tygodnia, możemy naodwrot przyjąć porządkową liczbę owego marca, a zamiast niej — porządkową liczbę dnia danego, w miesiącu mu właściwym.

Tak więc, zamiast cofać się do marca jakiegoś podstawowego roku 00, rozpoczynać zawsze możemy rachunek od liczby porządkowej danego dnia we właściwym mu miesiącu.

Przybiwszy w ten sposób szczęśliwie do portu, przystąpić możemy do ułożenia następującej reguły praktycznej.

Chcąc otrzymać dzień tygodnia, odpowiadający jakiegokolwiek dacie danej, dodać należy do siebie pięć liczb następujących:

1. liczbę porządkową danego dnia w miesiącu,
2. poprawkę miesięczną (Tabliczka II).
3. resztę z podziału przez 7 ostatnich dwóch cyfr liczby roku danego (ilość upłynionych lat w stuleciu),
4. iloraz z podziału tychże dwóch cyfr przez 4, bez względu na resztę (ilość lat przestępnych upłynionych w stuleciu).

5. poprawkę wiekową (Tabliczka III).

Otrzymałą sumę dzielimy przez 7, a reszta pozostała wskaże nam dzień tygodnia poszukiwany (Tabliczka I).

Uwaga 1. Jeżeli suma jest mniejszą od 7, wtedy wskazuje nam odrazu poszukiwany dzień tygodnia.



Kościół N. Margi Panny w Łodzi (str. 55).

Przykład.

Jakim dniem tygodnia był 20 kwietnia n. s. 1898 r.?

Liczba porządkowa dnia	20
Poprawka miesięczna (Tabliczka II)	3
98 : 7 = 14 bez reszty	0
98 : 4 = (bez względu na resztę)	24
Poprawka wiekowa (Tabliczka III)	6
Suma	53

53 : 7 daje resztę 4, odpowiadającą środzie (Tabliczka I), co łatwo sprawdzić w kalendarzu z 1898 r.

O gregoryańskiej reformie kalendarza.

Skutkiem mylnego oznaczenia długości roku przez reformę Juliusza Cezara, tak zwaną *julianską*, na 365 dni i godzin 6 okrągło (zamiast dni 365, godzin 5, minut 48 i sekund mniej więcej 48), powstał błąd, który, zwiększając się z biegiem czasu, w wieku XVI-ym urósł do dni 10. Poznać to można było stąd, że porównanie dnia z nocą wiosenne, do którego stosowano oznaczenie dnia Wielkiej Nocy, wypadło nie w dniu 21-ym marca, jak w czasie soboru nicejskiego roku 325, lecz w dniu 11-ym tegoż miesiąca. Na rozkaz więc papieża Grzegorza XIII-go, słynny astronom *Aloizy Lilio* zajął się podaniem sposobu usunięcia owego błędu kalendarzowego, i unikania go na przyszłość. Postanowieniem więc zostało, aby najpierw owych dni 10 z kalendarza raz jeden zupełnie wyrzucić, i przez to rachunek czasu doprowadzić do zgodności z względnym biegiem słońca, a następnie, aby uważać i nadal każdy czwarty rok za przestępny, o ile liczba jego nie kończy się na dwa zera. Każdy zaś setny rok ma być znowu zwyczajnym, z wyjątkiem jednak każdego roku czterechsetnego, t. j. o liczbie podzielnej przez 400, który znowu ma być przestępnym, nie zwyczajnym. Błąd zachodzący i tutaj usunąć się da w roku 5200, jakeśmy to już wyżej widzieli. Stąd rok 1900 był zwyczajnym.

Reformę tę nazwano *gregoryańską*, od imienia papieża Grzegorza XIII, który ją przeprowadzić rozkazał, i w wykonanie wprowadził. Uczynił to bullą z d. 24 lutego 1582 r., nakazując przyjęcie reformy w całym Kościele, rozpoczynając od wyrzucenia 10-ciu dni po dniu 4-ym października tegoż roku 1582. Tak więc w roku tym, nazwanym *rokiem poprawy kalendarza (annus correctionis)*, po dniu 4-ym października



Ulica Piotrkowska w Łodzi (str. 55).

nastąpił zaraz dzień 15-ty października, z opuszczeniem dziesięciu dni pośrednich, których więc w roku owym zupełnie nie było.

Nie wszystkie jednak państwa europejskie przyjęły odrazu kalendarzową reformę. Pragnąc czytelnikom naszym ułatwić oryentowanie się pod tym względem, podajemy poniżej daty, a przynajmniej lata, od których poszczególne kraje poprawiony kalendarz mają urzędownie zaprowadzony.

Rzym, Włochy, Hiszpania, Portugalia i nasz kraj *) zaprowadziły u siebie poprawę kalendarza w dniu 15-ym października 1582 r. (przez wyrzucenie 10 dni po 4-ym października).

Francya—d. 20 grudnia 1582 r. (przez wyrzucenie 10 dni po 9-ym grudnia).

Katolickie Niemcy, katolickie Niderlandy (dzisiejsza Belgia) i katolickie kantony Szwajcaryi — w 1583 r. Węgry — w 1587 r.

Niemcy protestanckie — d. 1 marca 1700 r. (przez wyrzucenie 11 dni po 18-ym lutego).

Dania i Niderlandy protestanckie (dzisiejsza Holandia) — również w 1700 r.

Szwajcaryja protestancka — d. 12 stycznia 1701 r. (przez wyrzucenie 11 dni po 31-ym grudnia 1700 r., rok więc 1701-y rozpoczętym został od dnia 12-go stycznia).

Anglia — d. 14 września 1753 r. (przez wyrzucenie 11 dni po 2-gim września).

Szwecya nakoniec d. 1 marca 1754 r. (przez wyrzucenie 11 dni po 17-ym lutego).

Cesarstwo, jako też i narody religii prawosławnej, używają dotąd kalendarza juliańskiego czyli starego.

F. Gr.

BŁĘKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVI wieku
przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Spojrzała na paluszek, błyszczał tam sygnecik z czerwonym oczkiem.

— Po matce, dać nie mogę — szepnęła.

— A warkoczyk? — spytała któraś z młodszych dziewczeczek, dotykając lekko bujnych, jasnych włosów Kornelki.

— Warkoczyk? — spytała dwórka, przytrzymując ozdobę swojej główki, jak gdyby ją chciała od napaści obronić.

— Warkocza nie odetniesz, ale wstążkę dać możesz — ozwała się królowna.

— Wstążkę? — spytała z pewnem wahaniem Kornelka.

— Potrzebne też to poufalenie się z wychowan-

*) Różne lata podawane bywają za datę zaprowadzenia u nas nowego kalendarza. Jednakże *Aleksander Wejnert* (Bibl. Warsz. 1865 II. str. 497 i nast. — oraz Bibl. Warsz. 1878. III str. 1 i nast.) dowiódł niezbicie, że u nas reformę kalendarza wprowadzono równocześnie z Rzymem. Z różnych dokumentów i dowodów przytoczonych przez niego, najwyraźniejszym, bo określającym najdokładniej sam dzień wprowadzenia reformy, jest powołanie się na akta sejmu 1582 r., który rozpoczął się „w piątek, nazajutrz po dniu św. Franciszka, w dniu, który skutkiem poprawy kalendarza jest dniem św. Jadwigi.” Św. Franciszka wypada d. 4-go października, a św. Jadwigi d. 15-go tegoż miesiąca, a ponieważ dni te w 1582 r. nastąpiły bezpośrednio po sobie, jest to więc dowodem dostatecznie chyba przekonującym.

ką! — pomyślała ochmistrzyni i jeszcze więcej głowę do góry podniosła.

Kornelka tymczasem, choć niechętnie, odwiązała błękitną wstążeczkę i złożyła ją do rąk imć panny Bogumiły, która już w przeznaczonym na to koszyczku, nie mało fantów dźwigała. Na wierzchu wszakże błyszczała błękitna wstążeczką, będąc najcenniejszym fantem, z pomiędzy drobiazgów, składanych przez dziatwę. Uznał to i Jacek, bo wyciągnął szyję jak żóraw i spoglądał na wstążkę pożądliwym wzrokiem.

Wkrótce rozpoczęto sądzenie fantów, po odbytej zaś za kilka z nich pokucie, królowna rzekła:

— Kornelkę osądzić surowo.

Zaraz też imć panna Bogumiła spytała:

— Co mam czynić z tym fantem, co go trzymam w ręku?

— Niech się wypowiedzi! — ozwał się głos jednej z dworek, której z kolei przypadło sądzenie.

— Błękitna wstążka! — zawołała uroczystym głosem panna Bogumiła.

Teraz Kornelka z wielką powagą zasiadła na stołku, zakryto jej oczy, zaś panna Bogumiła zwracając się ku ochmistrzyni, spytała:

— Któż będzie spowiednikiem?

— Może najmiłościwsza pani raczy kogo mianować... — odpowiedziała ochmistrzyni sztywnym swym głosem.

— Jest tam który z paziów? — rzekła królowna.

Zaraz na to wezwanie wysunął się Jacek, i zgiąwszy przed królowną kolano, zawołał:

— Do usług najmiłościwszej pani, Jacek Skoła.

— Mianuję cię na tę chwilę spowiednikiem imć panny Tarłówny — rzekła królowna, przypatrując się swemu paziowi, którego usług prawie nigdy nie potrzebowała.

Jacek wstał i skłoniwszy się do nóg swej pani, poszedł spełnić chwilowy swój obowiązek.

A znać nie był mu wstrętnym, bo od razu twarz jego ponura poweselała, i z chmurnego i patrzącego z pod oka, stał się bardzo przyjemnym młodzieniaszkiem.

Spełniał też swój obowiązek bardzo dowcipnie i stanąwszy za stołkiem pokutnicy, spytał, gładząc się po głowie.

— Ile razy było tak?

— Codziennie — odrzekła Kornelka.

— Bardzo pięknie, należy pochwalić, codziennie imć panna się czesze.

I tak dalej i dalej szły rozmaite pytania i stosowne do tego gesta spowiednika, którym towarzyszył śmiech obecnych, aż nareszcie począł przebierać palcami, jakby co spiątał lub wyciągał i powtórzył pytanie:

— Ile razy było tak?

— Ani razu — odpowiedziała Kornelka.

— Nie prawda, nie prawda, wszyscy widzieli, jak imć panna wyjęła błękitną wstęgę i na fant ją złożyła. Za taką zaś chęć ukrycia onego grzechu, błękitna wstęga nie może do imć panny powrócić — mówił przygodny spowiednik, spoglądając na leżącą na kolanach panny Nepomuceny. A spoglądał takim wzrokiem i tak wyciągał szyję, jak gdyby chciał ją sobie przywłaszczyć.

Lecz Kornelka śnać to przeczuła i zeskoczywszy z pokutnego stołka, pobiegła po zawiązkę swoich warkoczy.

Królowna z przyjemnością patrzyła na zręczne ruchy swej ulubienicy, uważała wszakże, iż czas już zakończyć zabawę, rzekła więc zwracając się do ochmistrzyni:

— Wdzięczniśmy jejmości za tę miłą rozrywkę. To mówiąc, wstała, zabierając się do wyjścia. Spojrzała wszakże jeszcze na ową rozbawioną dziewczynę i westchnąwszy, pomyślała sobie:

— Miłość mi w mojem sieroctwie, sierotkami się pocieszać.

Kornelka zaś przeczuła smętne myśli swej opiekunki, zaraz znalazła się przy niej i obłapiwszy niżej za kolana, mówiła z wielką pieśczołą:

— Mojaś ty, mojaś ty, nietylko najmiłościwsza, ale i najukochańsza i najlepsza matucho!

Przyczem jasne jej włosy, nie skrępowane żadną zawiązką, rozrzucały się i okryły dziewczeczkę złocistym płaszczem.

A królewna, spojrzawszy miłośnie na tę wdzięczną postać, oparła dłoń swą białą na jej głowie i rzekła:

— Pójdźmy już sroczo, pójdźmy!

I skinąwszy głową, szła wsparta na swej ulubienicy, która przy okazałej i wyniosłej postaci Anny Jagiellonki, wyglądała jak delikatna podpórka w złota siatkę odziana.

III.

Przerwany spoczynek.

Nie można się dziwić Jackowi, że tak pożądlivie na ową błękitną wstęgę spoglądał. Wstęga w tym kolorze była dawana na znak szczególniejszej łaski Anny Jagiellonki, nosili ją tylko uprzywilejowani, a otrzymać takową, było to otrzymać stopień do jakiegoś dostojenstwa i urzędu. Na palcach u jednej ręki można by wyliczyć takich, a możeby jeszcze tych palców i zostało, kto taką wstęgę na dworze Anny Jagiellonki otrzymał, barwy zaś tej, prócz obdarowanych, nikt na dworze nie nosił.

Wyróżnienie więc ulubienicy, która zawiązkę tej barwy codziennie we włosach miała, kłóło w oczy wszystkich dworzan.

Nosiła zawiązkę, chowając szeroką wstęgę, otrzymaną parę dni temu za uratowanie od niechybnej śmierci jednej z sierotek, na której się odzienie zapaliło.

Nie jeden też i nie jedna zazdrościli młodej dwórcy, lecz nie każdy zazdrość tę okazywał; owszem, starano się ją ukrywać, a Kornelce, zwłaszcza przy królownie, świadczone pewne względy.

Jacek zaś mówił sobie:

— Sierota, to prawda, alem tak samo na dworze królewny jak i ta dziewczucha wychowany... ba, jak oto i cała ta garść dzieciaków, która kosztem i staraniem jej żyje!... Jenó Tarłówna umiała się wkraść w łaski, a przecie więcej mnie, jako paziowi one należą... — myślał sobie dalej — ale niech co chce będzie, zdobędę błękitną wstęgę a z nią pójdę i dalej... — dodał, westchnąwszy.

Tymczasem dwór cały rozpierzechnął się na wszystkie strony i używał swobody, pozbywszy się wzroku ochmistrzyni.

Ta bowiem, sapiąc gniewnie, całą zółć wylewała przed marszałkiem i ochmistrem dworu, Pawłem Bożymowskim, starostą Liwskim.

— Można być dobrą, i ja nie jestem żadną broń Boże furją, ale żeby tak poufalić się z byle kim, nawet z dziećciakami — mówiła, to wstając, to siadając, bo nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Nie dał Pan Bóg rogów, bo by niemi bodła! — mruknął po cichu pan marszałek.

(d. c. u)



ZE ŚWIATA.

List z wystawy Łódzkiej.

Wólka 20/1 1903 r.

Kochane „Wieczory” W niedzielę zrobili mi rodzice wielką przyjemność, bo zabrali mnie z sobą do Łodzi na wystawę higieniczną. Łódź znam dosyć dobrze, gdyż mieszkam od niej tylko o 3 mile, więc już kilka razy jeździłam tam z mamusią do dentysty, który mi musiał zaplombować aż trzy zęby. Nie były więc to arcy miłe wycieczki i wcale też się na nie nie cieszyłam, bo komu raz w życiu dentysta maszyna w zębach świdrował, ten wie dobrze, jaka to przyjemność. Ale teraz miało być zupełnie co innego. Nie widziałam jeszcze w życiu żadnej wystawy, więc łatwo każdy wyobrazić sobie może, jak się cieszyłam, że zobaczę tyle ciekawych rzeczy.

Pojechaliśmy swymi końmi do Pabianic, a stamtąd elektrycznym tramwajem, który chodzi tak pysznie, szybko, że niech się schowają przy nim te warszawskie tramwaje, gdzie biedne koniska ledwie się czasami wloką, takie są zmęczone. Otóż tramwaj zawiósł nas prawie na samo miejsce, bo od ostatniej stacyi do wystawy tylko kilkaset kroków. Jak tylko zeszlśmy z Piotrkowskiej ul., która jest główną ulicą w Łodzi, na boczną ul. Benedykta, zobaczyliśmy zaraz bramę tryumfalną, a drugą taką samą przed wejściem na wystawę. Znajduje się ona w dawnej fabryce p. Lorenza, ale fabryka ta stoi teraz pustkami, więc właściciel zrobił bardzo dobrze, że ofiarował gmach na ten cel, bo przecież dochód z wystawy przeznaczony na Pogotowie ratunkowe, takie same, jakie jest w Warszawie, co to karetka z lekarzem jeździ na wezwanie po mieście i udziela pomocy tym, którzy nagle zachorowali lub też ulegli jakiemu nieszczęśliwemu przypadkowi.

Przy kupowaniu biletów spotkała mnie wielka konfuzya, bo dali tatusiowi wziąć dla mnie bilet dziecienny, a ja myślałam, że mnie już uważać będą za dużą, gdyż wszyscy mówią, iż na swój wiek ogromnie urosłam. Zaraz przy wejściu jest tak zwana Sekcja naukowa, gdzie p. Dr. Serkowski wystawił rozmaite grzybki szkodliwe dla zdrowia. Grzybki te znajdują się w szklanych rurkach, szczelnie zamkniętych, a tak są maleńkie, że gołem okiem widać tylko jakby trochę mętów w żółtawym płynie. Ale przez mikroskop, t. j. przez kilka powiększających szkieł, umieszczonych w pewnym oddaleniu jedno nad drugim, rozpoznaje się, że to są miliony grzybków, podobno bardzo szkodliwych. Jeżeli bowiem taki grzybek czyli zarazek dostanie się do ciała, najprędzej przez nos lub usta, w takim razie wywołuje rozmaite okropne choroby, jak np. dyfteryt, tyfus i t. p. Jeden z doktorów, który nas oprowadzał i wszystko objaśniał, mówił także, że p. Serkowski wyhodował te niebezpieczne grzybki na bulionie lub żelatynie, zaś grzybek szkarlatyny najlepiej udaje się na mleku. W jednej rurce widziałam jakiś brzydki, obrzydliwy

zielony płyn, a ten pan powiedział, że to też grzybki, które wydzielają z siebie taką zieloną barwę, a wytwarzają się czasami w ustach nieczysto utrzymywanych. Postanowiłam odtąd zawsze usta dobrze płukać wodą rano, po obiedzie i wieczorem, a zęby myć starannie kredą i szczoteczką, tak, jak każe higiena, aby mi przypadkiem także takie szkaradzeństwo nie wyrosło.

Było tam jeszcze dużo tablic i rysunków, ale tatuś mówił, że nie ma czasu wszystkiego tak dokładnie oglądać i obiecał jeszcze wrócić do oddziału p. S... jeżeli zdążymy. Poszliśmy więc dalej, tam gdzie były umieszczone rozmaite rzeczy spożywcze, jak mięso, masło, mleko, śmietana, miód, kakao, kawa i t. p, a to wszystko dlatego, aby wykazać, kiedy te rzeczy są dobre, a kiedy zepsute lub też fałszowane, co się podobno często zdarza, zwłaszcza w większych miastach. Byłam oburzona, jak można tak oszukiwać i sprzedawać rzeczy wprost szkodliwe. Tutaj nie sami doktorzy objaśniali, bo podobno mieli za mało czasu, gdyż teraz w Łodzi ludzie bardzo chorują, zwłaszcza na influencję, więc żony doktorów takie są dobre, że mężom dopomagają, przesiadują godzinami całymi na wystawie i uczą, które rzeczy są pożywniejsze, a które nie; jak wygląda mięso z chorożego zwierzęcia, a jak ze zdrowego i w jaki sposób odróżnić fałszowany produkt od dobrego. Przyznaję, że mnie to bardzo zajmowało, a i mamusia oglądała z wielkim zaciekawieniem. Prawda, że te panie tłumaczyły tak jasno, iż każdy mógł je zrozumieć. Ciekawa jestem, skąd one to wszystko tak dobrze wiedzą? Pewno je mężowie nauczyli. Postanowiłam zanotować sobie za świeżej pamięci wszystko, co tam widziałam i słyszałam, bo zaraz przyszło mi na myśl aby napisać, o tem do kochanych Wieczorów. Pytałam mamę, czy można? Mamusia powiedziała: I owszem, napisz, będziesz miała podwójną korzyść, bo lepiej ci przez to zostanie w pamięci i wprawisz się w pisanie, a ta wasza Jaskółka tak was psuje, że gotowa jeszcze list poprawić i w „Wieczorach” umieścić, aby go przeczytali ci czytelnicy, którzy nie mieli sposobności oglądania wystawy. O tem szczęściu nawet nie marzę, ale jeżeli Redakcyja pozwoli to przysłę w dalszym ciągu opis wystawy. Dzisiejszy list trzeba zakończyć, bo byłby za długi i znudziłby może zanadto. Bardzo proszę o odpowiedź, czy mi kochane Wieczory pozwolą donieść o tem wszystkim, a ja sobie tymczasem napiszę w brulionie i starannie poprawię, aby styl nie był bardzo zły.

pozostają z poważaniem
stała czytelniczka

P. Raj.

SZARADA.

uł. Czesia z Pińska.

Pierwszego i drugiego przeciwieństwem: rzadko,
Samo zaś *drugie* liczbą; dotąd idzie wszystko gładko!
Trzecie z czwartem każda gospodyni
Uprawia; to samo i gospodarz czyni. *Crestochow*
Wszystko: miasto, na świat cały słynie.
Do niego lud nabożny choć z daleka plynie,
A modląc się w pokorze gorąco i szczerze,
Swe serce pełne wiary składa tam w ofierze.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

uł. Czesław S. dla Janka G.

Z następujących sylab: a—cer—ce—e—gier—i—lek—mar—metr—ni—ro—ram—ry—sza—sère—stwo—ułożyć 6 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą mają imię i nazwisko uczonego pols. z XVI wieku. Znaczenie wyrazów: 1) Przewodniczący na sejmie lub obywatelstwie. 2) Przyrząd do mierzenia gęstości powietrza. 3) Stan wojowników w wiekach średnich. 4) Jedna z wysp Moluckich. 5) Dopływ Rodanu. 6) Rzeka w Afryce.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 5-go.

Szarady; Przed — mo — wa.

Arytmogryfu;

W a W e l
N i l
U l e w a
O j c ó w
F i z y k
Ł o ś
S z a r a d a
R y ś
G e o r g i a
W r o n a
R o d u s
Ł z y
O l i m p
O k u n i e w
G r a n a d a
K r e t a

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pałac w głębi oceanu, przez Maksa Pemberton (z ryc.)—Pragnienie, wiersz przez Z. Wł. Zacharkiewicz. — Ks. Marcin Medniański, przez Wł. Karoli. — Jak oznaczyć dzień tygodnia dla wiadomej daty, przez F. Gr. (dokończenie). — Kuryerka (ryc.) — Błękitna wstęga, powieść z XVI w. przez Z. Morawską. — Ze świata. List z Wystawy Łódzkiej (z ryc.) — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek.** Konkurs na kaligrafię (z ryc.) — Kogo kochać? wiersz przez W. B. — Kaligrafia Tolusia przez B. B. — Mirko, syn rybaka. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 26 Января 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

KONKURS NA KALIGRAFIE.



ni przysłać, jako próbę pisma, przepisany przez siebie wiersz z numeru szóstego p. t. „Luty,” mający rok 10-ty i 9-ty — wiersz poniżej zamieszczony: „Kogo kochać,” a młodsi — trzy lub cztery zwrotki tego ostatniego wiersza.

Próby pisma mają być jak najstaranniej i najczyściej przepisane w 2 liniach lub na jednej, na porządnym arkuszu lub arkusiku papieru, nie na świstkach albo wyrwanych kartkach.

Przy próbach pisma należy podać *imię, nazwisko, wiek* (rok 10-ty, 9-ty i t. d.); *adres*: kto nie życzy sobie być wymienionym z nazwiska, niech doda *pseudonym*.

Termin nadsyłania prób 8 go kwietnia r. b.

Za najlepsze względnie do wieku próby, będą przyznane liczne nagrody, pochwały i wzmianki zaszczytne.

Adres: Warszawa, Mazowiecka 10. Redakcja „Wieczorów Rodzinnych,” dopisek na kopercie: *kaligrafia*.

P. S. Prosimy do kopert z kaligrafią nie dołączać żadnych listów ani poleceń, gdyż będą otwarte dopiero po upływie terminu.

Wkrótce ogłosimy konkurs na rysunki.

Ważna nowina! Z każdej szufladki
Niechaj bez zwłoki wyjdą obsadki,
Zbrojne, jak w bagniet, w świeże stalówki,
Za niemi linie oraz ołówki.

I niech z powagą na czarnem czole
Imć pan kałamarz stanie na stole,
Bo to dygnitarz przecie nielada,
I papier czysty niech się rozkłada,
Przy nim — dla kleksów arcy nieczuła,
Wiecznie pić chcąca — pani bibuła.

Ważna nowina! Redakcyja nasza,
Na kaligrafię konkurs ogłasza!

Chce bowiem wiedzieć, czy pięknych wzorów
Trzyma się w piśmie dziatwa „Wieczorów,”
Bo pismo równe, wyraźne, czyste,
Jest rzeczą bardzo ważną zaiste,
I nieraz później żałować będzie,
Kto się zaniedbał—dzieckiem—w tym względzie.

Do konkursu tego powołujemy dziewczynki i chłopców, **nie mających jeszcze skończonych lat jedenastu.** Stawający do konkursu, mający rok 11-ty powin-

Kogo kochać?

Kogo masz kochać dziecino droga,
Pytasz mię, patrząc ciekawie?
Oto nasamprzód dobrego Boga,
Który cię stworzył łaskawie.

Kochaj Go w gwiazdce, co z niebios świeci,
W całym tym świecie widomym,
W zielonej trawce, w śnieżnej zamieci,
W każdym robaczku znikomym.

Kochaj serdecznie mamę i tatka,
Najgłębszą dziecka miłością,
Oni nad tobą w dziecięce latka
Z taką czuwali tkliwością.

O! za wylane te łzy matczyne,
Przy twej pościółce dziecięcej,
Mateczce swojej, dziecię jedyne,
Winność miłości najwięcej.

Kochaj rodzeństwo: siostry i braci,
I tych co sercu są bliscy;
A czy ubodzy, czy to bogaci,
Wszak braćmi sobie my wszyscy.

Tego biedaka, co stoi w progu,
I tę sierotę znędzniałą,
Kochaj miłością pierwszą po Bogu,
I braćmi nazwij ich śmiało.

Bo kto przytuli biednych, nędzarzy,
Sierotom otrze łzę skrycie,
Tego Bóg łaską swoją obdarzy,
I wynagrodzi sowicie.

Zresztą dla wszystkich, luba dziecino,
Z jednakiem sercem być trzeba:
Bo równie tobą jak i ptaszyną,
Bóg opiekuje się z nieba.

W. B.

Kaligrafia Tolusia.

Deszcz pada. Toluś pisze w kajecie kreski. I jakie kreski! Niezgrabne, koślawe, jedne cienkie jak włos, inne grube i krótkie jak wędliniarz z przeciwka; niektóre mają okrągłe głowy: to kleksy, którymi przybrało je pióro Tolusia: inne chwieją się i pochylają drżące, a jeszcze inne kręcą się jak węże, aż się obrzydliwie robi na ich widok. Cała stronica kresek, przysmolona małą, brudną rączyną Tolusia, podobniejsza jest do egipskich hieroglifów, niż do kaligrafii europejskiego dziecka.

A jednak on się stara bardzo, biedny Toluś! Paluszki ściskają mocno nieposłuszne pióro, z otwartych ust wydobywają się westchnienia, a niesforne włosy spadają mu na oczy i zaczepiają się o obsadkę Włosy ciągną a kreska krzywi się...

Główka Tolusia pochyła się coraz niżej; jasne włoski maczają się w kałamarzu, a szeregi nieszczęśliwych kresek przyozdabiają się smugami atramentu.

Toluś nic nie widzi, tylko jego tłusta rączyna posuwa się coraz wolniej — wolniej — powieki mu ciężą i przymykają się...

Otwiera je nagle z przestraczem, i widzi, że jedna laseczka podnosi się powoli, schodzi z papieru i staje przed nim na stole. Ta kreseczka ma taką zabawną minę, z wielkim kleksem na głowie! Smugi rozmazanego atramentu, wisząc bezładnie na jej cienkiej, pokręconej postaci, zastępują jej ubranie.

Toluś zaczyna się śmiać.

— Dobrze ci się śmiać, okrutniku! — przemawia

laseczka piszczącym głosikiem. — Śmiejesz się z mojej niedoli! Ty sam mnie tak ubrałeś, a teraz ze mnie szydzisz!

Toluś przestaje się śmiać.

— Czy ty myślisz — skarży się laseczka, — że ja w takim ubraniu mogę się pokazać pomiędzy przyzwoitemi kreskami, ubranymi przez pilne dzieci?

Serce Tolusia przejmuje żal.

— Czy ty nie wiesz — mówi rozżalona laseczka, — że byłabym celem pośmiewiska laseczek prostych i starannie ubranych? Ach! jestem najnieszczęśliwszą ze wszystkich kresek w dziecinnych kajetach!

— A ja? a ja? — odzywają się inne piskliwe głosiki, dzwoniące jak krople deszczu w rynnach.

Toluś widzi z przerażeniem, że wszystkie jego laseczki podnoszą się z kajetu, w którym je z taką pracą poustawiał. I stoją przed nim na stole, połamane, dziwaczne, krzywe, i żalą się głośno. W oczach Tolusia zamieniają się w małych człowieczków czarnych, pokrzywionych, niekształtnych, niepodobnych prawie do ludzi.

Jedna laseczka zgięta w kabłąk, podsuwa się do samej buzi Tolusia.

— Dlaczego nas tak skrzywdziłeś? — pyta.

— To nie ja! — usprawiedliwia się po tełhórzowsku Toluś. — To wina mojego pióra, które nie chciało iść prosto...

Słyszając to, stalówka wysuwa się z ręki Tolusia, prostuje się groźnie.

— Ja! — woła skrzypiącym głosem. — Ja, co byłam posłuszna twojej ręce, i dawałam się kąpać w atramencie po samą głowę! Ja, którą wykręcałeś brzuszkiem do góry, którą trząsałeś bez miłosierdzia jak gdybyś trząśł śliwki? Nie z mojej winy powstały te poczarwane istoty! Nieuczciwy jesteś, jeżeli mnie o to oskarżasz.

Toluś oddycha z trudnością.

— To moje włosy — zaczyna.

— My! — rozlegają się liczne głosy, podobne do trzaskania ognia w piecu.

— Czepiały się — usiłuje mówić Toluś.

— My! — powtarzają z oburzeniem włosy — kto nas ciągnął po papierze? kto nas umaczał w atramencie? Kto wsunął między nas obsadkę pióra? Kto nas potargał? Niewdzięczniku! Służyliśmy ci od urodzenia! Teraz odejdzimy od ciebie!...

I włosy zaczynają ciągnąć każdy w inną stronę, co taki ból sprawia Tolusiowi, że zaczyna krzyczeć i... otwiera oczy.

Starszy brat stoi za nim, i ciągnie go za włosy, żeby go obudzić, a jednocześnie przypatruje się jego kreskom.

Toluś spogląda i widzi całe ich rzędy na papierze, całą armię niezgrabnych kalek. Pióro, które wypadło z ręki Tolusia i jego własne paluszki, zrobiły wielką czarną plamę na środku stronicy: Tolusiowi zdaje się, że to kałuża łez, którą laseczki wylały nad swoją niedolą.

— Mocno spałeś, Tolusiu — mówi starszy brat.

Toluś zaczyna się śmiać. Tak się cieszy, że te



jego kreski nie są żywe, i nie skarżą się! Potem zbliża się do pieca gdzie ogień trzaska, spogląda w okno i widzi, że pada, deszcz, którego krople dzwonią w rynnach: przysłuchuje się skrzypiącym drzwom w korytarzu, i śmieje się ciągle.

— Czego się śmiejesz, jak waryat? — pyta starszy brat, który lubi dobitne wyrażenia.

Toluś opowiada mu swój sen, wzdychając, bo chociaż śmiał się z początku, teraz, gdy sobie przypomina, jak to było, strach powraca.

I czy uwierzycie temu? Pomimo, że Toluś udaje obojętność, gdy mówi o tym śnie, pisze teraz kreski bardzo starannie, proste i równe. Pomyślcie tylko! Gdyby tak znowu ożyły i zaczęły żalić się na swoje krzywdy?

Tolusiowi zimno się robi, gdy o tem myśli...

B. B.

MIRKO, syn rybaka.

(Dalszy ciąg).

Chmistrzyni i młode jej towarzyski, tonęły we łzach, od zmysłów odchodziły z żalu; a cóż mam mówić o sobie? Oto już niedługo dziesięć lat się skończy, a żal mój po córce w niczem się nie zmniejszył.

Mirko chciał pocieszyć strapionego ojca, ale wspomniał na wyraźny zakaz milczenia, dany mu przez królową i nie zdradził tajemnicy.

Król przywiązywał się też coraz więcej do swego wychowanka, cenił jego wielkie przymioty i nic mu o tem nie wspominając, zwołał tajemną radę, na której mianował go swoim następcą. Nie wiedział, że gotując mu świetną przyszłość, zbliża godzinę zguby.

Razu jednego przed zachodem słońca, Mirko czekał w ogrodzie na przybycie króla, żeby z nim zwykłą odbyć przechadzkę. Wtem usłyszał rozpaczliwe krzyki, dochodzące od strony stawu, pośpieszył i ujrzał jakiegoś starca tonącego. Bez chwili namysłu skoczył mu na ratunek. Starzec uchwycił się konwulsyjnie rąk jego, ściągnął mu z palca pierścionek czarodziejski i znikł w tej chwili z jego oczu.

Poznał nasz młodzieniec, że stał się ofiarą podstępny, nie zmartwił się jednak tak bardzo. Będąc w pełni sił, ufał swojej dzielności, i nieraz myślał, że gdyby był otoczony wrogami, nie uciekałby się do czarodziejskiej siły, tylko szukał obrony w umiejętności władania bronią i osobistem męstwem.

Czyż zresztą koło rówieśników i przyjaciół, których kochał i wierzył w ich przywiązanie, nie było dla niego czarodziejskim pierścieniem?

Nadchodziła właśnie pora łowów. Dla starego króla była to już zbyt męcząca rozrywka, Mirko za to oddawał jej się z zapałem młodości. Wielki łowczy dał znać o stadzie jeleni, i liczny orszak myśliwych wybrał się do pobliskiej puszczy. Prócz mło-

dzieży, kilku poważniejszych dostojników było także uczestnikami polowania.

Zaczął się zwykłym porządkiem, wkrótce psy ruszyły wspaniałego rogacza, wszyscy myśliwi rzucili się za nim, a Mirko na czele. Uniesiony namiętnością, nie zważał, że orszak daleko za nim pozostał. Zwierz pędził z szaloną szybkością, psy za nim ujadają zaciekle, na raz wypadł na obszerną polanę i... rozwiął się w powietrzu, a psy stropione stanęły. Mirko zatrzymał konia, który robił bokami i cały był pianą okryty, zeskoczył z niego i przyłożywszy trąbkę do ust, chciał zwołać towarzyszy, kiedy ze wszystkich stron wysypali się zbrojni ludzie, otoczyli go i młody myśliwiec, mimo rozpaczliwej obrony, musiał uleść przemagającej sile. O! czemuż stracił czarodziejski pierścień!

Napastnicy związali mu silnie ręce i uprowadzili w głąb lasu.

Jakież było zdziwienie Mirka, kiedy przyprowadzony do jakiejś jaskini, znalazł w niej zgromadzonych tych wszystkich panów, którzy niedawno jeszcze pochlebstwami i czołobitnością starali się względny jego pozyskać.

Jeden z nich wystąpił i w te słowa przemówił:

— Stoisz tu przed swoimi sędziami, przybłędzie z cudzego kraju! Opanowałaś intrygami słabego i dziecinna starca. Czarami wymogłeś na nim, że mianował cię swoim następcą, ale królem naszym nie będziesz! Gotuj się na śmierć, postanowimy tylko o jej rodzaju!

Usunęli się i zaczęli zbierać głosy. Nemo, który należał do spisku i czekał na nich w jaskini, był zdania, że najlepiej głowę mu ściąć, ale na razie nie było takiego, co by to wykonał. Żołnierzy nie chcieli wtajemniczać i kazali im tymczasem pilnować Mirka, następnie zaś postanowili ich wyprawić przed wykonaniem wyroku. Jeden z dostojników, którego syn był przyjacielem Mirka, i któremu zapewne zrobiło się żal młodzieńca, tak przemówił:

— Nie godzi się nam rycerzom i głowom narodu w ten sposób krew przelewać. Zabić wśród boju, to zupełnie co innego, ale jednak możemy się pozbyć przybłedy. Ta jaskinia ma liczne boczne korytarze, wybierzemy jeden bez wyjścia, otwór każemy zaważyć kamieniami i możemy być spokojni, że z tego grobu nie wyjdzie.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Od Żabki z nad Rosi dla Kotki z Pilawy.

Jedno mam tylko oko, a choć nim nie widzę,
Owoców pracy własnej wam się nie powstydzę.
Jestem ostra, błyszcząca, ze stali zrobiona,
Za wielką pożyteczność przez wszystkich chwalona.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

uł. Ogrodniczek z nad Przemszy.

Z następujących sylab: cze—cze—dzie—kto—ła—pła—ska—ten—tek—w—pią—w nie — ułożyć przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

Szarady: Za — pał — ka,

Biały—olbrzym—hałas—długi—anioł—nowy—zły—antypa-
tya—lekki—elegancya—silny—krnąbrny—iść.

Bohdan Zaleski.

Skrzynka do listów.

S. Swirskiemu opowiadanie o wiewiórce, z własnoręcznym rysunkiem, napisane starannie, choć stylem jeszcze nie wyrobionym. Sposób zrobienia klatki postaramy się zużytkować.

Władziowi B. i Mysze z nad Rosi. Rozwiązania łamigłówek sylabowej przysły za późno. Pierwsza część „Biruty” Władziowi już wysłana.

P. Maryi W. Cieszy nas niezmiernie zajęcie, jakie wśród uczennic pani wywołał nasz kwestyonaryusz dziewczęcy z Nr. 5-ego. Pragniemy właśnie, aby jak najwięcej naszych czytelniczek zastanowiło się nad temi pytaniami i postarało się na nie odpowiedzieć.

12-letniemu **Jedynakowi.** O żadnym z zapowiedzianych konkursów nie zapomnimy i ogłosimy jeden po drugim. Przeczytaj kwestyonaryusz uważnie do końca, a przekonasz się, że z kolei postawimy podobny i dla chłopców. Rozpoczęliśmy od panienek, uważając, że w porze nauk mają od was więcej wolnego czasu na odpowiedzi.

J. S. Chod. w Pab. Ze wszelkimi interesami, poleceniami, zapytaniami, i t. p. prosimy prenumeratorów naszych, zwracać się wprost do redakcyi, bez względu na to czy się prenumeruje „Wieczory” przez księgarnie lub kantor.

Dobre rozwiązania zadań i zadania własnego układu nadesłali: A. Gros., Ańdzia i Fela, Trzy Raczkzi z Siedlisk, J. S. Chod., Różia i Salcia S., Edek Romanus, Sokół z Olszewa, Witold Sokół, Bronisława Mark., Bronia i Tereńia, Rzymianka, Lutek Neug. Litwin, Żabka z nad Rosi, Muszka z nad Rosi, Góral z Gewontu, Witold i Henryk Sokół, Szarak.

Maluczko, a już do grona staruszek zaliczać cię będą **Białorustko.** Doskonale pojęłaś sposób w jaki pragnę poznać się z wami. Małe sprzeczki między rodzeństwem to rzecz zwykła, oby tylko broń Boże nie przybierała formy kłótni, i kończyła się prędką zgodą, ale unikać ich należy bo pocóż mieć choćby lekkim nieporozumieniem, te szczęśliwe chwile, które spędzacie pod dachem rodzinnym. Późniejsze życie może was rozdzielić, niechże wspomnienie lat młodzieńczych w zgodzie i miłości spędzonych, będzie nierozzerwalnym i świetlanym łącznikiem w całym późniejszym życiu... Od sprzeczek najlepiej chroni panowanie nad sobą i wzajemna wyrozumiałość. Chociaż układanie łamigłówek jest zajęciem przyjemnym, radziłabym jednak Czesiowi, nie opuszczać dla nich codziennego spaceru, koniecznego dla zdrowia. Obiecanego listu oczekuje.

Grono staruszek powiększa się, i to osobą poważną, która skończyła lat 16 i pensją 6-o klasową, wielki to zaszczyt **Lillo Wenedo II** (jedna z moich korespondentek używa tego pseudonimu), to też z prawdziwą radością list twój odczytałam, chętnie i zawsze służyć ci będę radą starszej przyjaciółki. Czytając odpowiedzi, poznasz pseudonimy pisujących panienek, wymienić je oddzielnie byłoby za trudnym zadaniem, bo liczba dość znaczna. Chcąc się samej przygotować do egzaminu gimnazjalnego, masz dużo pracy przed sobą, ale bezwątpienia o pozyskanie patentu starać się należy. Czytelniczki mogą korespondować między sobą, przysyłając sobie adresa za pośrednictwem redakcyi, lecz ich listy dla braku miejsca wyjątkowo tylko i nader rzadko drukować w piśmie możemy. Od Zochny gorliwej współcycelniczki „Wieczorów” oczekuje oddzielnego listu.

Ty **Mazurze** musiałeś zbierać się na odwagę, by napisać do małej Jaskółki? Nie straszna ona i chętnie odpisywać ci będzie. List napisany bardzo starannie, nie „wkradła” się żadna omyłka, ani ortograficzna, ani stylistyczna. Na początek byłabym spełniła twe żądanie i posłała I część Biruty, lecz nie podałeś mi nazwiska, ani adresu. Jeżeli mieszkasz w Warszawie, najlepiej byłoby, gdybyś sam zaszedł do redakcyi.

Od **Perłowej Muszelki** liczącej dopiero rok dziewiąty nie wymagam ładnego pisma, ale bardzo radzę, abyś pisała w dwóch liniach, bo to najlepiej pomaga do wyrobienia równego i porządnego pisma. Niteczkę Aryadny trzeba układać według pewnych prawideł, sylaby muszą być rozstawione w kratkach tak, aby linia łącząca je, nie przerwała się. Dość to trudne zadanie do ułożenia, radzę ci próbuj łatwiejszych, byle nie na rozrzucone litery, bo tych jest bardzo wiele. Na odczytywanie waszych listów mogę cię zapewnić, że mi nigdy cierpliwości nie zabraknie.

Po długim milczeniu, odezwałaś się **Blondynko z nad Dochny**, a ja, jak z powrotu syna marnotrawnego w progi rodzinne, cieszę się z odzyskania mej dawnej i miłej korespondentki. Witam cię serdecznie i z całą wyrozumiałością, bo aż nadto dobrze pojmuję, że ucząc się dużo, nie masz czasu na pisanie listów. Widzę tylko, jakich mam poważnych rywali w maleńkich siostrzeńcach i siostrzenicach, którzy pochłaniają chwile rekracyjne swych młodych ciotek i wujaszek. Prawdę mówisz Blondynko, że przyjemność robiona takim drogim i małym osobom, więcej nas cieszy, niż gdybyśmy jej sami doznawali. Na pytania twe kolejno odpowiem: przyslij adres, bo nazwiska bez adresu do Miri posłać nie mogę (a Miri niechaj mi swój przysła także). Na imię mi: Jaskółka i nie więcej. Powieść Deotymy „Branki w Jassyrze” — wyszła w powtórny wydaniu i jest do nabycia. Do wszystkich konkursów, naturalnie należec możesz, i na kwestyonaryusz dziewczęcy spodziewam się, że nadeszlesz odpowiedź.

Czesławowi Słóskiemu, Bogdanowi J. i Szarej Muszelce dziękuję za piękne karty, Muszelce chętnie przysył pocztówkę, ale proszę o adres.

Witam cię, **Szarotko z Dobromiła**, jako nową korespondentkę. Do przybranej nazwy wdzięcznego górskiego kwiatka dodaj miejscowość dla odróżnienia od dwóch innych korespondentek. Niech ten pierwszy list będzie pierwszym w szeregu częstych i długich. „Oładek” „oładeczek” jest to wyraz polski, rodzaju męskiego, oznacza pewien gatunek ciasta. Nazwa ta jest w Warszawie mało używana i uchodzi za prowincjonalizm, ale niesłusznie. Początek „Biruty” wysłany.

Radomiance posyłam żądany numer pocztą, a w skrzynce serdeczne pozdrowienia, jak również **Szarakowi i Góralowi z Gewontu**, od których nie mogę wymagać dłuższych listów, bo wiem, że nie mają na to czasu, jak się zajmą lekcjami.

Polnej Mysze za dwie ozdobne kartki bardzo dziękuję, ale bardziej jeszcze za tę trzecią, choć zwykłą, ale tak serdecznie napisaną. Zrobiłabyś mi prawdziwą przyjemność, przysyłając kartkę ze swoją fotografią.

Storczyka i Rybkę z Newy witam życzeniem, by im było dobrze i swojsko wśród miłego grona naszych czytelników i korespondentów, do których zaliczyli się od niedawna.

Jaskółka.

P. S. znowu kilka odpowiedzi odłożono.

Żarcik na zakończenie.

Nad bramą hotelu wisi tablica z napisem: „Tu mówią różnemi językami.” Przyjeżdża cudzoziemiec — przemawia kolejno aż w trzech językach do zebranej służby, ale napróżno, nikt go nie rozumie. Wreszcie jeden z gości pospiesza z pomocą i służy za tłumacza.

— A więc któż z was mówi różnemi językami? — zapytuje zirytowany podróżny właściciela hotelu:

— Goście, proszę pana — brzmi odpowiedź.